

Biegnę przed siebie, szybko stawiając bose stopy, rozgarniając gałęzie na boki i osłaniając twarz przed uderzeniem. Niby niepozorne gałązki a potrafią tak boleśnie zranić. Nie chcą tego, ale zadają ból, smagając twarz cienkimi drewnianymi odnogami, jakby chciały złapać mnie za włosy, silnie pociągnąć i zatrzymać, bym im towarzyszyła. Bym razem z nimi dzieliła dni i nocę pośród mroku, chłodu i dźwięków, które wywołują gęsią skórę. Niechcący łamię jedną z gałęzi i nagle dookoła rozlega się krzyk. Czy to krzyczą zranione drzewa, rozdeptany ślimak czy może ja? Nie umiem sobie odpowiedzieć. Idę coraz wolniej, brak mi tchu. Krztuszę się śliną. Wypluwam ją czując nieprzyjemny ból w żołądku. Bez sił padam na moką pachnącą pleśnią ziemię. Po raz kolejny me ciało ogarnia dreszcz, strachu? Zimna? Podniecenia? Pewnie wszystkiego po trochu. Próbuje się objąć, kuląc w sobie, jednak jestem zbyt rozdygotana. Przestaję czuć, jakby ktoś wyłączył mi wszystkie zmysły, oprócz słuchu i wzroku. Mokre pośladki, mokre policzki, zimne dłonie odmawiające posłuszeństwa.

Włosy opadające na twarz, pozlepiane i w totalnym nieładzie, przypominają raczej zboże potraktowane silnym wiatrem i deszczem niż włosy młodej dziewczyny. Coraz bardziej blada twarz, wolno znikające z policzków wypieki spowodowane wysiłkiem, zagryzione wargi, które kiedyś były tak zmysłowe, a swoją czerwienią ozdabiały kształtną twarz, które rozdawały chętnie pocałunki i równie łapczywie je brały, teraz sine i nieapetyczne poruszały się nie wydając żadnego dźwięku. Oczy rozbiegane i jakby niewidzące, pozbawione dawnego blasku i piękna utkwily gdzieś w przestrzeni. Głęboki oddech powodował falowanie pełnych piersi, nie ograniczonych bielizną. Dawniej niewielkie, wydawały się teraz ogromne. Stwardniałe z zimna sutki prześwitywały przez cienką koszulę. Kiedyś je uwielbiałam, były takie zmysłowe, teraz stały się większe i cięższe. Doprowadzało mnie to do szaleństwa. Chciałam by znów były jak dawniej... Starłam łzy z policzków, wzdychając. Spojrzenie ześlizgnęło się z piersi niżej, na mocno zaokrąglony już brzuch. Czuję odrzę a zarazem czułość. Kocham a zarazem nienawidzę. Czuję się jak przedmiot, opatulona w białą, lekko już przybrudzoną, standardową szpitalną koszulę. Nigdy nie chciałam być statystyczna, zawsze chciałam się wyróżniać, chciałam być indywidualistką. Wiedziałam, że kiedyś to osiągnę. Z podszewki wrywam wcześniej przyszytą żyłkę i chwilę obracam ją w palcach. Spoglądam w niebo, oczekując pierwszych oznak dnia. Muszę dać im wystarczająco dużo czasu by zdążyli, i wystarczająco mało, by im się nie udało...Czekam. Czekam wieczność, która wydaje się być sekundą. Czekam sekundę, która wydaje się być wiecznością. Przeciagam ostrzem po zsiniałych nadgarstkach, tnąc żyły. Tworzą się ranki z których powoli wypływa krew. Nie krzepnie, nie przestaje płynąć, lecz się nie spieszy. Pozwala mi jeszcze zachować życie. Nie, nie dla siebie. Widzę krew na swoich dłoniach, które ułożone na brzuchu wyglądają jak pazury jakiegoś potwora próbującego wyrwać dziecko z mojego łona. Wzdrygam się na tą myśl, lecz moje reakcje są już osłabione. Czuję jak uchodzi ze mnie to, o co wszyscy tak długo walczyli. Coraz słabsza pogrążam się w myślach i wspomnieniach. Widzę Jego, niemal czuję nasze pocałunki i dotyk Jego dłoni na moim brzuchu, gdy dowiedział się o dziecku. Widzę Jego krew, Jego trumnę, Jego grób... Próbuje zapłakać, lecz stać mnie tylko na chrapliwy jęk. Pociesza mnie myśl, że wkrótce będziemy razem. Słyszę sygnał karetki, głośnie krzyki, nawoływanie, łamanie gałęzi.

Widzę z daleka niebieskie migające światło i ludzi biegnących w moją stronę. Przez chwilę próbuję wyciągnąć do nich ręce, wstać, krzyknąć, lecz jest za późno. Odwracam głowę i widzę jasne światło i Jego rozłożone ramiona. Uśmiecham się.

Nie czuję już dotyku lekarza na mojej szyi, nie słyszę krzyków, nie czuję jak biegną ze mną na noszach przez mroczny las. Nie czuję jak tną me ciało i wyjmują ze mnie dziecko. Nie słyszę jego krzyku i nie

mogę go przytulić, lecz stojąc obok Ciebie i trzymając Twoją dłoń jestem szczęśliwa. Patrzymy. Dziecko rozpaczliwie chwyta powietrze. Ktoś je otula kocykiem i układa w łóeczku. Ktoś wypełnia jego akt urodzenia. Ktoś inny przystaje i z zadumą patrzy na maleńkie dziecko, które pomimo wszystko żyje. Udało się. Ścieram ostatnią łzę z Twojego policzka i ciągnę w stronę wiecznego światła.

27 kwietnia 2007

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Liftangel, dodano 09.06.2007 11:24

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.